

Ks. Jan SOCHOŃ

ROZBICIE BEZPIECZNEJ SZYBY...

Na marginesie *Pasji* Mela Gibsona

Judaszowa miłość była wielka, ale nie wyłączna; nie była to miłość szczera, ufna, otwarta, jak miłość Piotra czy Jana; zawierała w swym płomieniu coś z dymnego czadu, coś z ciemności. Z czego składały się te ciemne elementy w miłości Judasza, nie wiemy i pozostanie to tajemnicą Judaszowej nieprawości. Nie powinniśmy jednak wątpić w szansę przebaczenia grzechów. Dopóki żyjemy – przekonuje Gibson – nic ostatecznie nie zostało jeszcze przekreślone. Żywiołem wiary pozostaje przecież nadzieja.

Przyznaję: miałem znaczne kłopoty z napisaniem recenzyjnego tekstu o *Pasji* Mela Gibsona. Z tego mianowicie powodu, że moja wyobraźnia i oczekiwania zostały wręcz zainfekowane prasowymi uprzedzeniami, wypowiedzianymi w emocjach ocenami, a nawet prywatnymi złośliwościami skierowanymi pod adresem reżysera. Z góry traktując film jako wydarzenie raczej socjologiczne aniżeli artystyczne, obawiałem się, że nie będę mógł spokojnie spoglądać na ekran. Tymczasem stało się coś przedziwnego. Wraz z pojawianiem się kolejnych filmowych sekwencji zacierały się w mojej pamięci uprzedzające głosy krytyków; zaciskając z przejęcia dłoń, znalazłem się nagle w innym świecie, w centrum ewangelicznej narracji, w sercu chrześcijańskiej wiary.

I od razu piszę, że ten film nie powinien pobudzać do wygłaszania różnego rodzaju ideologicznych deklaracji, które obecnie płyną nawet ze środowisk kościelnych. Widocznie ci, którzy mają kłopoty z religijnym samookreśleniem się, z akceptacją dogmatycznego wymiaru zbawczego orędzia Chrystusa – uciekają się do tego rodzaju psychologicznej obrony. Muszę jednak wyraźnie stwierdzić, że nie mogłem oddzielić w propozycji Gibsona jej strony artystyczno-formalnej od strony religijnej (one przecież siebie wzajemnie warunkują). Wielu odbiorców powtarza bowiem, że szanując przeżycia religijne innych widzów, uznają artystyczny poziom filmu za bardzo niski, niektórzy nawet posługują się słowem „kicz”. Ale przecież dzieło o charakterze kiczu nie może – z siłą godną przynajmniej zastanowienia – oddziaływać na oglądających. Kicz intryguje tylko przez chwilę i szybko zyskuje wymiar pustego znaku masowej wyobraźni.

Pasja natomiast domaga się innego odniesienia. Przywołajmy chociażby obraz Jezusa miłosiernego, wywiedziony z religijnej wyobraźni siostry Faustyny. Pod względem artystycznym obraz ten może wydawać się nam niedoskonały. Stał się on jednak ikoną miłosierdzia, w świetle której duchowo przegląda się

dzisiaj cały chrześcijański świat. Tak więc siła oddziaływania tego dzieła nie mieści się zasadniczo w jego mocy formalnej i kunszcie twórczym, ale przede wszystkim w kontekście religijnym, a dokładnie mówiąc, dogmatycznym. Być może podobnie należy patrzeć na *Pasję*. W przestrzeni odbioru film ten stał się faktem religijnym o misteryjnym charakterze. Warto sobie przypomnieć i uświadomić sobie zarazem, że do liturgii i do jej form parateatralnych niemal od początku kształtowania się chrześcijańskiej doktryny wiary włączono wydarzenia Wielkiego Tygodnia i Wielkanocy. Stanowiły one rdzeń religijnego przepowiadania. Wczesnochrześcijańskie formy parateatralne zasadniczo nie miały charakteru działań artystycznych, ale przede wszystkim były liturgicznym potwierdzeniem wydarzeń ewangelicznych. Dopiero pojawienie się misterii, w których moment teatralności wybijał się na pierwszy plan, doprowadziło do nowej sytuacji odbioru. Misterium otrzymało status samodzielnego faktu artystycznego, nawiązującego, co prawda, do ewangelicznych opisów, ale odznaczającego się dość wyraźną autonomią. I właśnie *Pasję* należy włączyć w ten misteryjny nurt obcowania z religijną tajemnicą. Wiele przecież w tym filmie odwołań do ikonografii, wiele nawiązań do osiągnięć europejskiej sztuki w ogóle, do tekstów mistyki chrześcijańskiej i do zwykłego, codziennego doświadczenia aktorów i reżysera. Ewangelia bowiem dotyka najbardziej osobistych sfer ludzkiego istnienia, angażuje duchowo niemal wszystkich, ale też każdemu z odbiorców „przedstawia się” nieco inaczej. Owo i n a c z e j stanowi o arcydzielności tego świętego tekstu. Dlatego Gibson odważył się nakręcić swoją osobistą wizję owego „inaczej”. Nie uczynił tego wbrew narracji ewangelicznej, lecz raczej podążając równoległe z nią. Pokazał ostatnie, długie godziny Jezusowego cierpienia. W tym reżyserskim zamyśle kryje się przeświadczenie, że jedyną odpowiedzią na tajemnice bólu i zła może być z naszej ludzkiej strony nieme współcierpienie, wędrówka duchowa wraz z orszakiem żałobnym. Gibson zdaje się pamiętać, że uczniowie Jezusa przez czterdzieści dni trwali w odosobnieniu, próbując pojąć, co się stało. Czas żałoby był konieczny, aby mogli przyjąć Ducha Świętego. I dopiero po tej bolesnej żałobie doznali wielkiego pocieszenia, które obiecał im Chrystus. Czy zatem to, że Jezus umarł na krzyżu jest dla nas źródłem pożytku? Czy jesteśmy w stanie całą swoją istotą pogodzić się z tym, że w Chrystusie i przez Chrystusa śmierć stała się drogą, którą przychodzi do nas Duch Święty? Film zaprasza do pozytywnej odpowiedzi na te pytania.

Nie wiemy dokładnie, jak należałoby rozłożyć historyczne fakty na poszczególne dni czy kolejne godziny. Ewangelisci na ogół podają, że w ostatnim tygodniu przed śmiercią Jezus podczas dnia nauczał w świątyni, a noce spędzał na Górze Oliwnej. Być może najważniejsze wydarzenia poprzedzające Ostatnią Wieczerzę miały miejsce w środę. Powtarzam: tego nie wiemy, gdyż układ ewangelicznych treści zapewne podlegał określonym zabiegom redakcyjnym. W każdym razie działalność Jezusa musiała być w tych dniach intensywna i wytężona. Możemy więc przypuścić, że Jezus najczęściej przebywał w świątyni,

gdzie nauczał zgromadzonych tam ludzi. Czynił to otwarcie, choć wiedział, że w ten sposób daje Sanhedrynowi oręż przeciwko sobie. I rzeczywiście, władze żydowskie przystąpiły do natarcia: Jaką mocą czynisz to wszystko, co czynisz? Przecież nie masz władzy od nas pochodzącej! Kapłani byli zapewne przekonani, że – jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – pokonają Jezusa w erystycznej potyczce. Tymczasem Jezus nie tylko odniósł słowne zwycięstwo nad członkami Sanhedrynu, ale też umocnił niejako swoją religijną więź z ludźmi. Przywołał czyny prorockie Jana Chrzciciela, w przypowieściach zasugerował, że w codzienności życia liczy się realizowane postanowienie i opowiedzenie się za dobrem. Kiedy bowiem mówimy, że jesteśmy gotowi do szlachetnych działań, ale ich nie spełniamy – cóż jesteśmy warci? Przypominamy wówczas bohaterów innej Jezusowej przypowieści, którzy pozabijali proroków, a wreszcie targnęli się na życie właściciela winnicy, czyli samego Boga. Jezus wyznał też, że syn właściciela (Boga), posłany ostatnimi czasy przez ojca do winnicy, to On sam. W ten sposób ponowił orędzie o swym Boskim posłannictwie. Nie trudno było zgadnąć, że mówiąc tak, myślał o „przedniejszych kapłanach i faryzeuszach” (Mt 21, 45)¹, przepowiadając ich przyszłą zbrodnię.

Ale cóż wydarzenia te mówią nam dzisiaj? Otóż Gibson sugeruje, że w kręgu nowotestamentalnych winowajców jesteśmy zapewne i my! W głębi ducha słyszymy delikatnie wypowiedziane zdanie: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeden z was Mnie wyda” (J 13, 21). Któż to? Na pewno nie Jan, który spoczywał na piersi Jezusa. Może Piotr, bardzo porywczy i łatwo dający słowo, które szybko się łamie i kruszy? Wiemy, że nie. To Judasz, biegnący z uśmiechem na powitanie, z ukrytą zdradą w sercu. On nie musiał zdradzić, mógł przyjąć dary Jezusowej bliskości i przebaczenia. Jednak z powodów, których być może i sam do końca nie pojmował, zdobył się na śmiertelny pocałunek. Zanikła w nim duchowa czujność, sumienie umilkło, a perswazje zła wydały się tak niewinne, nawet przyjemne.

Oto Jezus wciąż swobodnie naucza, spotyka się ze swoimi zwolennikami, a u Kajfasza trwają narady, jak pozbyć się Jezusa, jak zapewnić spokój podczas nadchodzącego święta, bo – według zapewnień Józefa Flawiusza – „zawsze w święta pełni straż uzbrojony oddział z obawy, aby przy takim zbiegowisku ludzi nie wywołano jakichś rozruchów”². Nic więc dziwnego, że obawiano się kogoś, kto uznaje się za Mesjasza, przepowiada zniszczenie Jerozolimy, zapewnia o nadejściu królestwa nie z tego świata. Nie wiedziano jednak, jak dokonać aresztowania Jezusa, by wieść o tym dotarła do ludzi dopiero po fakcie. I wtedy pojawia się Judasz, poszukujący sposobności, aby wydać Jezusa, właśnie bez zbytniego rozgłosu, zdradliwie, pod osłoną nocy.

¹ Biblia w tłumaczeniu Jakuba Wujka SJ.

² J. Flawiusz, *Wojna żydowska*, ks. 2, ak. 224, tłum. J. Radożycki, Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań 1980, s. 172.

I od razu nasuwa się pytanie: dlaczego Judasz zdradził Mistrza? Czy tylko z powodu chciwości, umiłowania pieniądza? Czy chciał uchronić naród żydowski przed konsekwencjami nauki Jezusa? Na ogół tak się sądzi, takie też wyjaśnienie podkreślała pierwotna katecheza Kościoła. Tymczasem sprawa wydaje się w wyjątkowy sposób związana z porządkiem miłości. W nieodgadniony splot łączą się związki Judasza z Jezusem i innymi Apostołami. Judasz przecież bardzo szybko przekonał się o dramatycznej wadze swego postępuku. Wykazał wyraźne oznaki żalu i wewnętrznego bólu, który doprowadził go do rozpacz i samobójstwa. Musiał zapewne kochać Jezusa, skoro pokonał w sobie chciwość i uznał się za grzesznika. G. Ricciotti przypuszcza, że Judaszowa miłość była wielka, ale nie wyłączna; nie była to miłość szczerą, ufna, otwarta, jak miłość Piotra czy Jana; zawierała w swym płomieniu coś z dymnego czadu, coś z ciemności. Z czego składały się te ciemne elementy w miłości Judasza, nie wiemy i pozostanie to tajemnicą Judaszowej nieprawości³. Nie powinniśmy jednak wątpić w szansę przebaczenia grzechów. Dopóki żyjemy – przekonuje Gibson – nic ostatecznie nie zostało jeszcze przekreślone. Żywiołem wiary pozostaje przecież nadzieja. Niestety, zdarzają się ludzie, którzy powołując się na św. Augustyna, Jana Chryzostoma i Ireneusza, usiłują twierdzić, że według chrześcijańskiej tradycji liczba wybranych jest niższa od liczby potępionych.

To zupełnie nieprawdopodobne. Wobec takiego stanowiska niełatwo zachować spokój. Nikt bowiem nie może zabronić modlitwy za Judasza, Stalina czy Hitlera. Zmarły już ks. Bronisław Bozowski z kościoła wizytek w Warszawie często modlił się za tak zwanych potępionych; wierzył zatem w zbawienie tych, których Bogu polecał. I to jest najważniejsze – wiara w Boga, który jest tylko miłością. Ale, oczywiście, miłość Boga jest poważna i nie niszczy ludzkiej wolności – jesteśmy w stanie miłość tę odepchnąć. Tak oto z faktu naszej wolności wyprowadzamy możliwość istnienia piekła. Stąd też w filmie Gibsona niezwykle ważną funkcję spełnia szatan, wciąż pojawiający się i znikający, towarzyszący niejako dziejącym się zdarzeniom. Nie bez powodu reżyser rozpoczął swoją opowieść od sceny w gaju oliwnym, gdzie Jezus doświadcza ogromnego cierpienia, pada na ziemię i modli się. Nie było zwyczajem Żydów modlić się w ten sposób, zwykle modlili się oni, stojąc. Niemniej jednak, leżąc w prochu ziemi, Jezus woła o oddalenie kielicha, czyli losu, który został Mu przydzielony. Z trudem poddaje się sile agonii, aż do wystąpienia krwawego potu. I następuje moment, kiedy Jezus zostaje zdradzony i pojmany. Rozpoczyna się haniebny proces. Jezus na ogół milczy. Piłat pozostaje nieco zdezorientowany. Cóż mam uczynić? – zastanawia się głośno. I odsyła Jezusa do Heroda Antypasa, w którego oczach Jezus uchodził za zmartwychwstałego Jana Chrzciciela. Spotkanie to jednak nie przyniosło spodziewanych rozstrzygnięć. Jezus wciąż milczał,

³ Por. G. Ricciotti, *Życie Jezusa Chrystusa*, tłum. J. Skowroński, Wydawnictwo PAX, Warszawa 1955, s. 603-607.

oskarżyciele zaś mówili zbyt dużo i krzyczeli coraz głośniejsze. Losami przesłuchania rządziły złość i nienawiść.

Nie dziwi zatem scena biczowania w *Pasji* Gibsona. Bałem się tego fragmentu filmu. Trudno jednak wyobrazić sobie, że biczowanie miało delikatny charakter. Często przecież w tamtych historycznych realiach ta okrutna kara zastępowała karę śmierci i niekiedy kończyła się właśnie śmiercią biczowanego. W filmie Gibsona okrucieństwo ujęte zostało jednak z pozycji Jezusa i Maryi. Przyjęcie takiego punktu widzenia służy ukazaniu ogromu ich obopólnej miłości. Maryja przeżywa niezrozumienie przeradzające się powoli w akceptującą zgodę. W ten sposób wyraża się Jej całkowita miłość, miłość cierpiąca. Widzę tutaj wysiłek Gibsona, aby pokazać miłość, choć przygniecioną tak wielkim cierpieniem.

Dopóki więc nie zrozumiemy, że wszechmoc Boga – tak odczytuję intencje reżysera – jest wszechmocą rezygnacji z siebie, dopóki we własnym życiu nie doświadczymy prawdy, że potrzeba o wiele większej miłości, aby się usunąć w cień, niż aby narzucać siebie innym – nie przybliżymy się ani na krok do tajemnicy Jezusowej Golgoty. Kochać kogoś to pragnąć, żeby istniał, nie zaś nieustannie narzucać mu własną osobę, umniejszając tym samym jego wolność. Na tym polega potęga miłości, w której centrum jest przebaczenie i miłosierdzie. Krzyż zatem to znak miłości, miłości do końca, to odkrycie prawdziwej natury Bożej wszechmocy, która jest tylko wszechmocą miłości. Baranek prowadzony na rzeź, jak głosił starotestamentalny prorok, wiedzie ku tajemnicy Boga, pokonanego przez cierpienie, oplutego i znieważonego, ale to właśnie Baranek Boży sprawia, że nasze życie w Nim i przez Niego ma sens. On dźwiga nasze nieporadności, słabości, pychę i częsty bunt. Dzięki temu jednak drzewo krzyża staje się drzewem ocalenia. Tak wyraziłbym orędzie i przesłanie filmu, który świadomie został skierowany do ludzi wierzących i w nich tylko wywołuje duchowe przeżycie, oczyszczające z nadmiernych egzaltacji i abstrakcyjnego pojmowania Ewangelii. Cóż mam na myśli?

Otóż wielu z nas zapewne popełnia błąd, który nazywam błędem Orygenesa, chrześcijańskiego myśliciela z Aleksandrii i Cezarei, który działał w pierwszej połowie trzeciego wieku po Chrystusie. W stworzonym przez niego systemie filozoficzno-teologicznym Chrystus stracił swe historycznie ukonkretnione cechy na rzecz swoiście rozumianego pojęcia, będącego etapem w neoplatońskim procesie wyłaniania się świata z Boga. Stał się kimś pozbawionym zakorzenienia w ziemskiej rzeczywistości. Wypada powiedzieć: został przeobrażony w symbol. Z takim Jezusem jednak trudno nawiązać egzystencjalne porozumienie. Jezus jest bowiem Kimś z krwi i kości, pozostaje włączony w krajobrazy ziemskiej ograniczoności. Dlatego Gibson pokazuje mękę Jezusa bez żadnych upiększeń, idąc za mistycznymi wyznaniem Katarzyny Emmerich. Stara się przekreślić historyczny dystans dzielący oglądających od przedstawianych wydarzeń. Wypada powiedzieć: czyni widzów współuczestnikami tych wydarzeń. To niezwykle charakterystyczny rys tego filmu. Martwe dziś języki – łacina

i aramejski – wiążą przekaz filmowy z przeszłością, niejako ją uobecniając. Sprawiają, że zanika dystans między naszym myśleniem o Jezusie a naszym myśleniem o nas samych. Stajemy się nieoczekiwanie uczestnikami misterium. Nasz świat jest miejscem kaźni Mesjasza. To doprawdy przejmujące. Zapominamy, że mamy do czynienia z filmem. Obrazy przenikają wyobraźnię, dotyczą niemal fizycznie. Dlatego zaciskamy pięści, mrużymy oczy, a nawet odwracamy twarz. Rozmyślamy „współ z obrazami” o bólu nie do zniesienia, o biczowaniu wprost niewyobrażalnym, o męce, w której jednak ujawnia się cały Boży majestat. Im bardziej Jezus zrzuca się swej siły na rzecz słabości w cierpieniu, tym jaśniejsza staje się prawda, że jedynie On posiada moc, by życie swoje oddać za owce i by znów je odzyskać (por. J 10, 15-17). Jedynie On może cierpieć i umrzeć za wszystkich, a potem powstać z martwych. Gibson dyskretnie przypomina, po pierwsze, że sam Jezus dał się poznać jako Mesjasz, który świadomie wybiera cierpienie i śmierć krzyżową, co stało się, jak wiadomo, wielkim zgorszeniem dla żydowskiego społeczeństwa, a po drugie, że Jezus jest Synem Bożym, czyli wskazuje swoim życiem na Ojca w niebie.

Uznajemy i wierzymy, że śmierć i zmartwychwstanie Jezusa to najważniejszy moment w historii świata, to wydarzenie o kosmicznym wymiarze, które J.-L. Marion porównał do wybuchu bomby atomowej, pozostawiającego wypalone dziury i cienie na murach – wraz z nieuchronnym promieniowaniem⁴. Właśnie to „promieniowanie” pozostaje ważne.

Czy jednak konieczny był tego rodzaju „atomowy” zapłon – śmierć na hańbiącej belce? Potoczne rozumowanie zdaje się przebiegać następująco: oto Jezus utożsamiał się z grzeszną ludzkością, wziął na siebie karę dla niej przeznaczoną i uczynił ze swego życia zadośćczyniącą ofiarę. Ludzie bowiem obrazili Boga, przekreślając Jego Boże prawo. Należy więc zadośćuczynić sprawiedliwości Bożej. Jezus zatem godzi się wziąć na siebie należną ludziom karę. Czyżby – zapytajmy – krew przelana na Kalwarii była zapłatą, jakiej Bóg wymaga za obrazę, której doznał od grzesznych ludzi? Wcale nie jest łatwo wybrnąć z interpretacyjnej trudności. Ewangelisci, ale również św. Paweł, posługują się takimi terminami, jak: „okup” (Mt 20, 28; Mk 10, 45; 1 Tm 2, 6), „kara” (2 Kor 2, 6; 7, 11), „sprawiedliwość” (Mt 6, 36); „ofiara” (1 Kor 5, 7). Nadto, najbliższym przyjaciołom Chrystusa krzyż nie wydawał się czymś oczywistym i koniecznym. Być może początkowo uznali Jego śmierć za zwieńczenie kultu ofiarniczego Starego Testamentu. Bogu jednak żadne krwawe ofiary niczego przecież nie przydają. Dlatego nie powinniśmy pozostawać niewolnikami tego rodzaju myślenia, które wciąż jeszcze bywa przyjmowane. Jak zatem rozumieć śmierć Jezusa za nas?

Pasja zawiera wyraźną sugestię, że krzyż Jezusowy trzeba przeżywać jako dar. W jednym z najpiękniejszych fragmentów filmu, ukazującym rodzącą się

⁴ Zob. J.-L. Marion, *Bóg bez bycia*, tłum. M. Frankiewicz, Wydawnictwo Znak, Kraków 1996.

w cierpieniu bliskość między Cyrenejczykiem a Jezusem, twórcy filmu sugerują, że bliskość ta jest źródłem wszelkiej jedności i serdeczności między ludźmi. Dlatego z misterium Gibsona wyczytuję ważne przesłanie: w każdej sytuacji życia Bóg powinien nam wystarczyć. Oznacza to, że nawet śmierć nie może zniszczyć tej miłości, którą On nas obdarza. Gdy odejdą ci, których ukochaliśmy, wówczas powinniśmy się zdobyć na krok ku tajemnicy bezgranicznej miłości Bożej. Będzie to krok bardzo bolesny, ponieważ ci, których ukochaliśmy, stali się dla nas rzeczywistym objawieniem Bożej miłości. Im bardziej jednak pozbawiani jesteśmy wsparcia, które daje nam Bóg poprzez innych ludzi, tym mocniej bywamy wzywani do tego, by kochać Boga dla Niego samego. Jest to miłość – jak przejmująco zauważył jeden z chrześcijańskich mistyków⁵ – napawająca trwogą, nawet przerażająca, ale właśnie taka miłość daje życie wieczne.

Dlatego warto uświadomić sobie, że rozum nigdy nie milknie, nie milknie także wówczas, gdy dotykają nas hiobowe nieszczęścia, gdy próbujemy pojąć coś z tajemnicy krzyża. Gdy dotyka nas ból, żal czy słabość, rozum wskazuje na wiarę, umacnia ufność, że ostateczne ocalenie leży w Bogu. Zaufanie staje się wówczas świadomym gestem, decyzją odcięcia się od tego wszystkiego, co od Boga oddala. Tak ogarnia nas żywioł wiary, która łączy z krzyżem Jezusa. Jego śmierć, mająca zbawczy charakter, w pewien sposób określa i ludzką śmierć. Gibson ukazuje realistycznie, że Chrystus nie umierał spokojnie, lecz przeżywał autentyczny lęk. Wołał na krzyżu słowami zagadkowego psalmu: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” (Ps 22, 2). Odchodził z tego świata w samotności i opuszczeniu, bo nawet ci, których ukochał, pouciekali; zaledwie kilka kobiet z Galilei przyglądało Mu się z daleka. Tylko Maryja, Jan i – w wizji Gibsona – Magdalena znajdowali się blisko. Mogło się wydawać, że nawet sam Bóg, którego Jezus zwał swoim Ojcem, nie bardzo się o Niego troszczy. Po prostu milczy, tak jak – z ludzkiego punktu widzenia – milczy wobec śmierci tylu osób na ziemi. Można więc słusznie zapytać: kim właściwie jest Bóg, który milczy wobec śmierci własnego Syna i wobec ludzkiego umierania?

Pytanie, które postawiłem, nie jest wyrazem ostatecznej bezradności. Jezus, będąc bez grzechu, nie musiał umierać. W swojej śmierci poddał się jednak woli Ojca, pozwalając Mu bezwzględnie swoim życiem dysponować. Jezus doznał istotnie śmierci „za nas”, a raczej dla nas, dla wszystkich ludzi. W ten sposób śmierć ukazuje się nam jako wydarzenie zbawcze, jako spotkanie z Bogiem, które grzech przesłaniał i uniemożliwiał. Bez Jezusowego cierpienia nasze ludzkie cierpienie nie miałoby sensu. Dlaczego?

Bóg jest niesamolubną, czystą, pozbawioną egoizmu miłością, która nigdy nie odwołuje się do przemocy i – właśnie dlatego – bywa narażona na ryzyko odtrącenia. Odmowa ze strony człowieka, odtrącenie przez niego miłości

⁵ Por. H. J. M. Nouwen, *Wewnętrzny głos miłości. Wędrowka od udręki do wolności*, tłum. J. Grzegorzczak, J. Grzegorzczak, Zysk i S-ka, Poznań 1999, s. 48n.

Stwórcy, muszą w jakiś – Bogu tylko wiadomy sposób – dosięgać Jego samego. Lecz cierpienie Boga nie jest znakiem słabości, wręcz przeciwnie: to znak niezmiernie pełni, chwały, mocy i wolności Boga. Bóg cierpi inaczej niż człowiek, przyjmuje cierpienie z miłości do ludzi, współcierpi razem z nami. Jeśli więc istnieje w Bogu cierpienie, to nie należy ono do istoty Boga, ale pozostaje skutkiem Jego osobowej miłości, ogarniającej wszystkich. To najgłębsza tajemnica, rozjaśniana wiarą. I o niej właśnie Gibson nakręcił swój film. Nie godzę się więc z tymi, którzy dostrzegają w nim jedynie rzecz o przemocy, okrucieństwie, o zadawaniu cierpienia przez żołnierzy rzymskich i o szatanie. Bronię raczej tezy przeciwnej: *Pasja* to głęboko realistyczna wizja ludzkiej rzeczywistości, której dotknęła cierpiąca i zbawcza miłość Chrystusa. To film o godności śmierci będącej koroną życia.

Niestety, dziś zamyślenie nad kwestiami życia i śmierci przesunęło się do sfery „spędzania wolnego czasu”, na margines aktywności społecznej. Przeżywamy obecnie czas „anty-eschatologiczny”. Źródła takiego nastawienia – zdaniem niektórych myślicieli ponowoczesnych – tkwią w tradycji chrześcijańskiej, która wprowadziła tak rygorystyczne kanony warunkujące osiągnięcie zbawienia (asceza, samowyrzeczenie, kult), że dla przeciętnego człowieka stały się one po prostu nieosiągalne. Z drugiej zaś strony promowana jest teza, że życie trwa krótko, a zatem należy się nim rozkoszować. W ten oto sposób nowoczesność rozebrała po kolei wszystkie piętra kunsztownej budowli wznoszonej przez Kościół: stłumiła zafascynowanie życiem pozagrobowym, zogniskowała uwagę na „tu i teraz”, zneutralizowała strach przed śmiercią. Śmierć stała się sprawą wstydliwą; domeną specjalistów. Zjawisko śmierci sprowadzone zostało niemal do sfery pornografii: ludzie dobrze wychowani nie mówią o śmierci, a umierających usunięto z przestrzeni życia społecznego. Z drugiej jednak strony śmierć jako taka rozgrywa się dzisiaj na oczach milionów ludzi. To fakt medialny. Gra w śmierć nie różni się zasadniczo od innych gier w wirtualnej przestrzeni. Problem śmierci uległ rozproszeniu. Rozmienia się go na różne paranaturalne zagadki, pułapki rozsiane po obszarze życia. Zagłada do ludzi pod postacią bogatych w cholesterol ciastek albo bakterii zaczajonych w zlewie.

Nie tylko koncepcje chrześcijańskie, ale również te wyrastające z myśli Heideggera (w których życie rozumiane jest jako bycie-ku-śmierci) zostały oddalone. Tym, co wywołuje niepewność, nie jest bowiem sytuacja po śmierci, ale raczej życie przedśmiertne. Wobec zagadki życia blednie zagadka śmierci, aforystycznie zauważa Z. Bauman i nazywa współczesnych „kolekcjonerami wrażeń”⁶. Kultura ponowoczesna uruchamia bowiem specyficzny mechanizm o psychologiczno-socjologicznym podłożu, dzięki któremu dochodzi do intensyfikacji tak zwanych przeżyć szczytowych, odłączonych jednak od sfery reli-

⁶ Z. Bauman, *Ponowoczesne losy religii*, w: *Ponowoczesność jako źródło cierpienia*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2000, s. 308.

gijnej. To, co dawniej było przywilejem elity religijnej, w wymiarze pozasakralnym stało się dziś demokratyczne, ogólnodostępne. Każdy człowiek może doznać przeżyć szczytowych. Stąd też życie powinno zyskiwać wymiary dzieła sztuki, które wzmacnia i przechowuje wrażenia, intensyfikuje doznania w rzeczywistości konsumpcyjnej. W takim horyzoncie aksjologicznym ciało ludzkie to posłuszny instrument rozkoszy, chłonny i czuły odbiornik wrażeń, których intensywność zależy tylko i wyłącznie od jakości narzędzi technologicznych. Nie może zatem dziwić fakt, że *Pasja* wywołuje tak skrajne oceny. Mam jednak nadzieję, że jej „religijna skuteczność” okaże się trwalsza od medialnej wrzawy, której stała się zaczynem.